

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Maria Paprocka

UŚMIECH ŻYCIA

**Wydawnictwo „Tower Press”
Gdańsk 2001**

„Poznaj samego siebie...”

W Dreźnie, na Parkstrasse, znajduje się ładna willa, oddzielona od ulicy żelaznymi sztachetami i małym skrawkiem ziemi, noszącym miano ogrodu. Od wielu lat zamieszkiwała ją hrabina Tenczyńska. Samotna i odosobniona staruszka zaledwie kilka razy na rok przyjmowała szczupłą liczbę bliższych swoich krewnych lub znajomych, bawiących w Dreźnie przejazdem. Sąsiedzi nie zajmowali się mieszkanką cichej willi. Tryb jej życia nie dostarczał tematu do gawęd. Regularne wycieczki do kościoła, spacerów do bliskiego Thiergartenu i wczesne gaszenie światła w całym domu – oto wszystko, co można było powiedzieć.

Dzień był jasny i wesoły. Przez otwarte weneckie okno willi wdierały się smugi słońca, rozlewały po wykwintnych sprzętach i drobiazgach, kładły złote odbłaski na ornamentach ścian i krzeseł w stylu Ludwika XV, wiązały się w aureole na zagięciach figurek porcelanowych, zdobiących kominek i etażerki. Pokój był nieduży, lecz urządzone z wielkim gustem, nie raził żadnym nieodpowiednim szczegółem lub banalnością. Był cały w najczystszy stylu rococo, rodzaju, który najczęściej spotkać można w domach drezdeńskich, pamiętających złote czasy tego miasta z zeszłego wieku.

Szukało się mimowoli mieszkańców, właściwych do tych stylowych ram: drobnej twarzyczki z muszką, upudrowanymi lokami i wachlarzem, albo margrabiego w żabocie i koronkach, z trójgraniastym kapeluszem i szpadą. A może w wazonie na kominku wsunięty był dyskretnie jakiś bilecik maleńki, z wierszami o bóstwach i nimfach, o szmerze strumyka i woni kwiatów, a mający wyrażać uczucie, rozbudzone w malowniczych ruchach menueta, tańczonego na dworze rozbawionego króla Augusta? Wszystko być może w myśli i wspomnieniu, jeżeli rzeczywistość nie wyrównywa urokiem tym obrazom przeszłości. Ale małego pokoiku nie trzeba było zaludniać postaciami wyobraźni.

Przy małym stoliku siedziała młodzianka blondynka i, czytając książkę, zasłaniała ręką oczy przed rażącymi promieniami słońca. Włosy miała bardzo jasne, gładko i skromnie zaczesane, oczy duże i myślące, cerę tylko nikłą jakąś i bladą. Całość pociągała urokiem słodczy i łagodności.

Czytała z wielkim zajęciem i uwagą. Czasem patrzyła przed siebie, nie widząc otoczenia, czasem oczy przymrużyła, jakby goniła myślą gdzieś bardzo daleko, może w krainę marzenia i szczęścia, a może za romantycznymi bohaterami powieści, za ich przygodami i miłością...

„Życie świętej Teresy, przez nią samą opisane” – był tytuł książki.

Panienka znów oczy przymrużyła, i myśl jej popłynęła świetlanym szlakiem miłości, dobra i cnoty, prowadzona głosem Świętej.

„Cierpienie jest łaską, zesłaną dla wybranych, cierpienie wykazuje błahość doczesnych celów i zabiegów, daje nadzieję i dążenie do lepszego świata, zbliża do Boga i w cnocie utrwała, cierpieniem znaczy się pochód do doskonałości moralnej, cierpienie jednocy złościem, a wtem zjednoczeniu jest spokój ducha. Życie jest próbą ognia, w którym niektóre dusze palą się na zgliszczu i popioły, a inne przetapiają się na czyste złoto, aby błyszczeć cnotą, szczęściem, w duchu Bożym i spokoju.”

Na twarzy czytającej odbiło się przygnębienie.

Ludzie i książki mówili jej tylko o walce z życiem, wiedziała, że walczyć nieraz trzeba z losem i przeciwnościami, z własnymi słabościami i naturą, z pokusami i złymi ludźmi, ale na myśl walki lęk ją jakiś ogarniał i zwątpienie we własne siły. Czytała dalej z zajęciem, jakby w słowach Świętej szukała uspokojenia i wskazówki

Do pokoju weszła panna służąca.

– Pani hrabina prosi, ażeby panienka po przebraniu się zeszła zaraz do salonu. Przyszedł pan Władysław Tenczyński.

Gość był dalekim krewnym nieżyjącego męża hrabiny Tenczyńskiej i przypuszczalnie jedynym jej spadkobiercą.

Młoda panienka wstała i zaczęła się przebierać.

Panna służąca rozplotła jej bogate blond włosy, które się bez sztucznej pomocy naturalnie kręciły i składały nad czołem ładne loczki; ale właścicielka nie wiedziała snadź o ich piękności i uroku, gdyż nie patrząc nawet do lustra, rzekła niedbale:

– Zacziesz jak można najładziej, a warkocz nizko upnij; więcej nic nie trzeba.

– Ależ panieneczko będzie nie do twarzy!

– Nic nie szkodzi.

Blondynka spojrzała na przygotowaną przez pannę służącą suknię, i lekki uśmiech przebiegł przez jej usta. Kostium był jasnoniebieski, ozdobiony białą koronką i wstążkami, w którym, wiedział, że wygląda efektownie i zajmująco,

Ale nagle twarz jej spoważniała. Czyż warto przywiązywać tyle wagi do takiej drobnostki? Wszak są to tylko próżności światowe, nad które wzniesić się trzeba i pogardzić. To złe duchy nasyłają jej pokusę pod postacią tej sukni, dla wypróbowania jej woli i wytrwałości w gardzeniu wszystkim, co błahe i doczesne.

– Nie wezmę dziś tej sukni – rzekła; – podaj mi czarną.

– Panieneczko, czarna jest bardzo skromna, dobra tylko na ulicę, ale nie do obiadu.

– Podaj mi czarną – odparła ze stanowczością.

Wyszła ze swego pokoju i udała się do salonu.

Salon był dosyć obszerny, oświetlony dwiema lampami. Na kanapie siedziała staruszka, mała i pokurczona, z uśmiechem dobrotliwym i uprzejmym, zajęta rozmową z Władysławem Tenczyńskim.

Był, to mężczyzna mniej więcej lat trzydziestu, o rysach, choć nieregularnych, ale rasowych, postawy i ruchów bardzo wykwinnych, wskazujących pewność i obycie.

– Ninko, – rzekła hrabina: – Władzio Tenczyński, o którym ci często wspominałam.

A potem dodała, zwracając się do Tenczyńskiego:

– Janinka Olszyńska, córka mojej nieboszczki siostry. Przed kilku tygodniami skończyła nauki w klasztorze pod Krakowem, a teraz przyjechała do mnie na stałe.

Nastąpiła zamiana ukłonów. Ninka usiadła obok ciotki; Tenczyński rzucił na nią przelotne spojrzenie i prowadził dalej zaczęłą rozmowę:

– Bez wprowadzenia machin nowego systemu nie można się obejść w Zaleszynie. Piece w fabryce są tak stare, że marnuje się w nich połowa rudy. Speculanci, którzy kupują żużle zaleszyńskie, robią doskonałe interesy, wytapiając jeszcze mnóstwo żelaza. Przy piecu nowego systemu cała ta korzyść zostanie w ręku cioci, gdyż wyciągnie się wszystko żelazo, jakie tylko w rudzie się znajduje.

– Zgadza się na wszystko, co postanowisz – odrzekła pani Tenczyńska; – oddawna już powierzyłam ci ogólny kierunek swoich interesów. Pewna jestem, że zajmiesz się tem sumiennie i serdecznie.

– Ponieważ ciocia zgadza się na postawienie wielkiego pieca, trzeba zatelegrafować po Maryańskiego; porozumielibyśmy się zaraz co do kosztów, plenipotencji, pewnych formalności etc. Mógłbym jeszcze kilka dni w Dreźnie zabawić, bo do Warszawy niebardzo mi się śpieszy. Wyścigi zaczynają się dopiero w końcu przyszłego tygodnia.

Maryański był adwokatem rodziny Tenczyńskich, prawnym opiekunem Ninki Olszyńskiej. Bez jego rady nie przedsięwzięto żadnego interesu,

Pani Tenczyńska zgadzała się we wszystkim na propozycje Władysława, i stanęło na tem, że miano wezwać Maryańskiego do przeprowadzenia prawnych formalności, dotyczących się tak ważnego wydatku, jakim było stawianie wielkiego pieca do przetapiania rudy żelaznej

w majątku pani Tenczyńskiej, Zaleszynie.

Temat interesów już był wyczerpany, rozmowa dalsza, obojętna, niebardzo się kleiła, znać było, że każda z trzech osób, razem zebranych, inny ma cel myśli, dążeń i zajęcia. Ninka pozostawała jeszcze pod wrażeniem ognistych słów świętej Teresy, uważała wszystkie względy światowe za błahie i nic nie znaczące, a wliczając w to i rozmowę towarzyską, milczała pogardliwie. Pani Tenczyńska rozmyślała w cichości nad wszystkimi *pro* i *contra* wielkiego pieca, rzucając niekiedy jakieś pytanie szablonowe, a Władysław, choć bardzo uprzejmy, znać było, że tylko zdawkową monetę swojego „ja” poświęcał towarzystwu, które go nie zajmowało.

Przyglądał się dość obojętnie szczegółom umeblowania, wreszcie na Nince wzrok zatrzymał. „Panienska z klasztoru” niewiele w nim budziła interesu, ale ponieważ nie mógł nie przyjąć zaproszenia pani Tenczyńskiej na obiad, więc postanowił tem się kontentować, co mu los zsyłał.

– Pewno pani nie tęskni po klasztorze, będąc już na wolności i swobodzie? – rzekł, zwracając się do Ninki.

– O, przeciwnie, myślę o nim często, gdyż czułam się tam bardzo szczęśliwą.

Tenczyński uśmiechnął się pogardliwie.

– Tak, ale świat da pani niezależność i wiele przyjemności, dotąd dla pani nieprzystępnych.

Teraz przyszła kolej na Ninke uśmiechnąć się pogardliwie.

– Nie chciałabym zmarnować życia na pogoń za uciechami, które nie mają dla mnie najmniejszej wartości – rzekła.

Tenczyński nie mógł się znowu powstrzymać od uśmiechu, który podrażnił i zranił trochę Ninki miłość własną. „Z gatunku świętych” – przez myśl mu przebiegło, a że na świętość dziewiętnastoletnich osóbek zapatrywał się dosyć sceptycznie, ironicznie się wciąż uśmiechał, ze szczerą chęcią przekomarzania się z tą spartańską dziewczyną, która go zaczynała bawić potrosze.

– Zapatruje się pani na życie trochę... biblijnie i heroicznie. Zdarza się to czasem u „panienek z klasztoru,” ale tylko takich, które należą do rzędu istot nadzwyczaj wrażliwych, u których klasztorne wychowanie rozbudza i pielęgnuje wyobraźnię, gdy tymczasem większa część ich koleżanek przechodzi bezwiednie pomiędzy tymi wpływami, jak lunatyczki, nieświadome tego, co ich otacza i dotyka, i pozostają na zawsze mniej lub więcej zuchwałymi pogankami. Ale za to tamta mała cząstka gorliwych entuzjastek cierpi za nie, czuje i myśli, dopóki... życie nie zetrze nieco ostrych kantów pojęć krańcowych, które się odznacza pierwsza faza młodości.

– Chciałabym należeć do tych drugich, dla mnie szczęście leży w cierpieniu i poświęceniu się dla innych – wtrąciła Ninka, którą uderzyła trafność uwagi Tenczyńskiego, tyczącej się jej koleżanek.

– Hm, chociaż nie chciałbym się pani w niczem sprzeciwiać, ale to szczęście wydaje mi się zanadto nieuchwytnem i przystępnem może tylko dla wybranych. Zaręczam pani, że większość kobiet nie oddałaby najmniejszej swojej przyjemności, nawet modnego kapelusza, za takie szczęście.

Ninka uśmiechnęła się z wyrazem politowania, a Tenczyński ciągnął dalej ironicznie:

– Ale zdaje mi się, że ostateczna konkluzja, wynikająca z poświęcenia jednych, a używania drugich, nie byłaby bardzo rozpaczliwą. Przypuszczam, iż te osóбки poświęcenia, które wyrzekają się dobrowolnie wszystkich życiowych przyjemności, taką sobie tem bohaterstwem wyrządzają przykrość i krzywdę, że nie tylko sobie samym zbawienie zapewniają, ale jeszcze coś z reszty ich zasług obróci się na korzyść innych grzeszników.

Ninke niecierpliwił coraz więcej ironiczny ton Tenczyńskiego.

– Są tacy, na których zbawienie nie starczyłoby poświęcenia wszystkich razem dobrych i

cnotliwych – rzekła żywo.

– Jakież byłby to tryumf naprowadzić takiego grzesznika na dobrą drogę! Zdaje mi się, że pani z takiego zadania wywiązałaby się chwalebnie.

Powiedział to bardzo uprzejmie i z kokieteryą, ażeby Ninke trochę udobruchać i rozchmurzyć. Wiedział, że nawet „święte” biorą się na komplementa.

– Nie potrzebowałyby pani daleko szukać. Mam honor przedstawić się jako grzesznik zatwardziały, przyjemności lubiący nad wszystko i mający stałe postanowienie wszelkie nawoływania do pokuty, cnót i umartwień zamienić na głos wołającego na puszczy. Przecież rozmaici bywają ludzie i różne robią z życia użytki. Jedni zajęci są zbieraniem przyjemności i zadowolenia, inni – zbieraniem trudów i zasług dla... hm... nie wiem, jak się wyrazić... dla przyszłości bardzo nieokreślonej. To rzecz gustu. Co do mnie, wolę jeden pieniążek, ale trzymany mocno w ręku, aniżeli całą ich sakiewkę obiecaną gdzieś tam za górami.

Tenczyński szukał na twarzy Ninki wyrazu gniewu i oburzenia, ale ona uśmiechnęła się i rzekła z prostotą:

– Żal mi pana.

Ujęła go sobie tym rysem łagodności i słodczy, to też w dalszej rozmowie starał się zabawić ją i rozruszać, zainteresować opowiadaniem, a choćby i samym sobą.

Jej zaś w miarę rozmowy na myśl przychodziło, że gdyby ten grzesznik chciał być apostołem swojej wiary, to mógłby w gromadce Bożej porobić wielkie spustoszenia! Uczuła względem niego jakby jakiś rodzaj strachu, a zarazem zaciekawienia, słuchała ze wzrastającym ciągle zajęciem jego słów lekkich i swobodnych, oddźwięków z tej krainy myśli zuchwałych i uroków, choć zwodniczych, ale wabiących, o których istnieniu wiedziała tylko ze słyszenia lub przecucia. A dobrze mu snadź było w tej krainie doczesnych uciech i słabostek, bo gdy rozmowa stała się ogólną i Tenczyński opowiadał epizody ze swego życia towarzyskiego i sportowego, to usta mu się w uśmiechy składały, a w oczach jakieś miłe wspomnienia zapalały blaski ożywienia i wesołości.

Najwięcej ożywienia malowało się na jego twarzy, gdy opowiadał o swoim pobycie w Nizy, gdzie przed przyjazdem do Drezna bawił przez kilka tygodni. Ninka z coraz większą uwagą słuchała szczegółów o tym południowym zakątku, do zabawy jakby stworzonym. Śmiała się serdecznie, gdy Tenczyński mówił o jakimś milionerze amerykańskim, który bawił wszystkich swoją osobą i ekscentrycznymi pomysłami. Wyczerpawszy wszystkie możliwe *passe-temps* i rozrywki, najwięcej znajdował przyjemności w wożeniu brekiem swoim różnych nieznanym podróżnych, z Nizy do Cannes i napowrót, a czuł się najszcześniejszym, jeżeli go ktoś uważał za prostego stangreta, nawymyślał za jazdę nieostrożną, lub obdarzył frankiem napiwku.

Zajmowano się też w tym sezonie młodą Amerykanką, która, uważając, że biżuterie z drogich kamieni zanadto są banalne i oklepane, a dostępne nawet dla jej panny służącej, jeżeliby miała ku temu tylko trochę chęci i urody, nosiła naszyjnik z oczu ludzkich, wyjętych kilku rozbójnikom, straconym przez powieszenie w jednym z amerykańskich Stanów, gdzie jej mąż zajmował wybitne i wpływowe stanowisko.

Tenczyński umiał barwnie opisywać rozmaite wycieczki, proszone obiady i przyjęcia, *garden parties* i przyjemności towarzyskie.

– Jedną z kobiet najbardziej interesujących była bezwarunkowo hrabina Nessel. Ciocia ją pewno zna. Ona jest Zenowiczówna z domu. Młoda wdowa i bardzo piękna. Dużo bywała i wielkie miała powodzenie, może w części dzięki genialnym swoim toaletom. Jestem zawsze wielkim wielbicielem kobiet, umiejących ubrać się gustownie i odpowiednio. Piękna suknia na pięknej kobiecie stanowi poemat, w którym zawsze odnaleźć można właściwe gusta, naturę i skłonności tej, która go obmyśliła. Nie umiałbym zachwycać się źle ubraną kobietą, miałbym jak najgorsze pojęcie o jej sprycie. Bezwarunkowo nie było w Nizy nikogo lepiej, niż pani Nessel, ubranego. Jest to artystka w swoim rodzaju.

Ninka z zakłopotaniem spojrzała po sobie, a choć jej czarny ubiór był także poematem prostoty i idealnych, czystych jak łza, dobrych chęci, jednak uczuła się niezadowoloną z siebie i sukni.

– Podobno pani Nessel była bardzo z mężem nieszczęśliwa – wtrąciła pani Tenczyńska, która mały dotąd udział brała w rozmowie, słuchając z zajęciem opowiadań bratanka.

– Podobno, – odrzekł ten z pewną ironią – ale to nie przeszkadza, że Nessel stał się po śmierci, w oczach swej żony, jakimś niedoścignionym ideałem, a pani Julia, dla uszanowania jego pamięci, postanowiła za mąż nigdy nie wychodzić. Ja to jednak biorę za przezorność i zabezpieczenie się przed wpadnięciem z deszczu pod rynnę.

Ton całej rozmowy Tenczyńskiego nacechowany był odcieniem lekkiej ironii w opowiadaniach i uwagach, tyjących się osób i wypadków. Była to pobłażliwość „dobrego księcia,” który patrzy z uprzejmym uśmiechem na ludzkie niedobory i słabostki, będąc mocno przeświadczonym, że sam jest wyższym nad podobne marności i uprzedzenia.

Ninka czuła się zakłopotaną i nieśmiałą. Domyślała się, iż jest w przekonaniu Tenczyńskiego jakaś istotą błahą, bez żadnego uroku i znaczenia, i była pewną, że jeżeli wspomni o niej w myślach lub rozmowie, to taki sam wyraz ironiczny przesunie się po jego twarzy; a gdyby zajrzał do nieba jej myśli, idealnych pragnień i dążeń do dobra i cnoty, możeby tylko pogardliwie wzruszył ramionami i uważał się za wyższego w swojej światowości i ironii.

Słuchała jednak tych opowiadań z uwagą i przyjemnością i ani się spostrzegła, jak się pożegnał i zabierał do odejścia.

– Wiem, że ciocia wcześniej spać chodzić lubi, zatem uciekam, bo już dziewiąta – rzekł do pani Tenczyńskiej, powtarzając sobie w myśli, że pozostawanie po obiedzie dłużej, niż obowiązywała najmniej wymagająca etykieta nie przedstawiało już celu i interesu.

Znać było z pośpiechu, z jakim ze schodów zstępował, że jakaś myśl przyjemna żywo go zajmowała, przyciągała i wabiła.

Ninka, po wyjściu Tenczyńskiego, powiedziała „dobranoc” i poszła do siebie. Spacerowała po pokoju i nie miała ochoty zabrać się do żadnego zajęcia. Majaczyły jej w pamięci szczegóły nicejskiego karnawału, tak malowniczo przez Tenczyńskiego opowiedziane, a pomiędzy myślami przewijało się, jak złota nitka, przecucie jakichś nieznanych wrażeń, rozkosznych i wstrząsających, odgłosy z kraju szczęścia i uczucia, które groziły, że wkraść się mogą do jej myśli, zajętych oderwanymi dążnościami do ideału dobra i cnoty, a pogrążonych w spokoju i marzeniu.

Tenczyński tymczasem przeszedł szybko kilka ulic, wszedł do nadjeżdżającej dorożki i zawieźć się kazał do teatru.

Dawano Wagnerowską „Walkiryę.”

Chociaż przedstawienie było już w połowie, wszedł na schody i skierował się do jednej z łóż kroków przyspieszonym, jakby był pewnym, że czeka tam na niego miejsce gotowe, lub myśl o nim.

Lekko zapukał i wszedł do wnętrza. Akt był zaczęty, w sali mrok panował, tylko na tle jasności, która scenę oblewała, odcinał się delikatny i regularny profil młodej kobiety, opartej o rampę i zasłuchanej w śpiewie i muzyce.

Na wejście Tenczyńskiego odwróciła się z uśmiechem, pokazała twarz drobną, okoloną ciemnymi włosami, artystycznie spletanymi w grecki węzeł.

Była to hrabina Julia Nessel, elegancka, młoda wdowa, o której Tenczyński wspominał o swojej ciotki w opowiadaniach o nicejskich przyjemnościach.

Zaczęli półgłosem rozmawiać, nie uważając na scenę i przedstawienie.

– Odurza mnie ta muzyka – rzekła pani Julia. – Lubię Wagnera, ale w maleńkich dozach, dopóki rozgorączkowanie, jakie sprawiają jego melodye, nie trwa za długo. Lubię tylko kosztować wrażeń, ale nie być ich pastwą. Ta muzyka znęca się nad moimi nerwami i topi

mnie w swoim chaosie.

– Doskonale tło do marzeń, jeśli... kto umie marzyć – wtrącił Tenczyński, ze swoim uśmiechem ironicznym.

– Właśnie przed chwilą próbowałam marzyć, jeżeli to marzeniem można nazwać. Wyobrażałam sobie pana, siedzącego przy nudnym obiedzie i myślącego o mnie. Niech mi pan powie: czy to było marzenie, czy rzeczywistość?

Patrzała na niego zalotnie i serdecznie, twarz do połowy zakryła wachlarzem, a oczyma, w których odbijały się zawsze wyraźnie wszystkie wrażenia, zachęcała do zwierzenia.

Na twarzy Tenczyńskiego malowało się zadowolenie i zajęcie.

– Czy mógłbym myśleć o kim innym, nie o pani? Ale nie spodziewałem się, że i pani o mnie myśleć będzie. Taka rzeczywistość przechodzi najśmielsze moje marzenia.

– Tego nie powiedziałam – odpowiedziała przebiegle pani Julia.

Skombinowała, że może teraz wylać szklankę zimnej wody na głowę Tenczyńskiego, który wszakże był nią tak zajęty, że nie zraził się zmianą tonu i humoru.

Postanowiła nagle zabawić się w obojętność i lekceważenie.

– Czyż ja to panu powiedziałam? – rzekła pogardliwie, wzruszywszy lekko ramionami.

Zwróciła się do sceny i zaczęła aktorów pilnie lornetować.

– Mówiłam, że w myślach pana siebie widziałam; myślałam zatem o sobie, nie o panu. Myśli pana były tylko lustrem, do którego zajrzałam, żeby się przejrzeć. Do lustra patrzymy tylko dla zobaczenia naszego odbicia, nie dla admiringowania szkła, które nie jest niczem więcej, tylko jakąś marnością, niewartą uwagi, zrobioną z popiołu i czegoś tam jeszcze.

– Mało się pani ceni, odbijając swój obraz na tle „marności” – odrzekł Tenczyński ze złośliwą intencją.

Uśmiechnął się, gdyż taka nagła zmiana frontu u pani Julii nowością dla niego nie była. Od czasu, kiedy się poznali w Nizy i zapoznali bliżej, wabiła go tem i drażniła, zajmowała ciągłymi niespodziankami humoru, gustów i temperamentu.

Żadna wrażenia dla wrażenia, jak zabawki lub cukierka, raz była rozumiejącą piękno artystką, dyletantką z zamiłowania i natury, albo rozswawoloną pensyonarką, płatającą figle, ośmieszającą wszelką powagę; to znowu widział ją pełną prostoty, ewangeliczną niewiastą, matkującą nieświadomym życia, lub też wesołą kobietką, nie mającą nic do stracenia, bez żadnych iluzji, chcącą tylko zebrać z rzeczywistości to, co najprzyjemniejsze i najlepsze.

Flirtowali w Nizy przez sześć tygodni i bardzo byli kontenci z siebie.

Tenczyński lubił drażniący nerwy, polegający na sprzecznościach urok pani Julii; ją zaś zajmował ten młody mężczyzna, trzymający się z początku z dala i obojętnie, jakby zblazowany przyjemnościami życia i nie pragnący, na pozór, wrażeń z jej repertuaru. A jednak poszedł za jej urokiem, choć się nawet do tego przed sobą samym przyznać nie chciał, i mówił jej więcej złośliwości, niż komplementów, może dlatego, że bronił się przed wrażeniem, jakie na nim wywierała, w którym więcej było podrażnienia, niż serdeczności.

I ona, może więcej przez przekorę, niż wyjątkową sympatię, kokietowała go i zajmowała się nim więcej, niż innymi, których łatwo zdobywała, łatwo też zapominała i zaczynała lekceważyć. I ani się spostrzegła, jak bawiąc się tem uczuciem, oplatała nim wszystkie swoje myśli i nerwy, jak jego obecność i choćby złośliwość stała się dla niej niezbędną, odurzała się nią, jak narkotykiem, kreśląc wyobraźnią jakieś fantastyczne sytuacje i wstrząśnienia, nie myśląc o następstwach tego kaprysu.

Miewała już przedtem inne fantazyje, które po pewnym czasie same z jej myśli odbiegały. Zachwycała się niegdyś jakimś włoskim tenorem, nie opuszczała żadnej opery, w której występował, słuchając jego śpiewu bez ruchu i świadomości otoczenia. Później przyszła kolej na psa Newfoundlanda, który znosił tylko edredonowe poduszki i kotlety z kurcząt. Później była zatopiona w spirytyzmie, wirujących i pukających stolikach. Przez jakiś czas brała lekcje muzyki od Leshetyckiego i grywała po dziesięć godzin dziennie. Porzuciła to jednak

dla wyszywania ornatów i chodzenia codzień na Mszę św. Nareszcie kazała sobie włosy przefarbować z czarnego na ryży kolor. Ostatnimi czasy wszystko poszło w niepamięć, gdy Tenczyński zajął jej myśli i odurzył wyobraźnię jakimiś wrażeniami nowymi, a silniejszymi od poprzednich.

I on się durzył tem jej odurzeniem i panią Julią, pełną uroku i niespodzianek. Zaczęli od udawania nieodeczuwanych uczuć i wrażeń, nareszcie dali się nieznacznie unosić tej lekkiej i rozkosznej fali, która czasem prowadzi na skały podwodne i rozbicie.

Tenczyński myślał, że po nicejskim sezonie położy się kropkę przy ich flircie, bezcelowym i przyjemnym, i że się go umieści wśród wspomnień i zabytków. Jakież więc było jego zdziwienie, kiedy na kilka dni przed wyjazdem, gdy oznajmił już wszystkim znajomym, że udaje się z Nizy do Dreżna, pani Julia, spotkawszy go nad morzem, rzekła ze swobodą i naturalnie:

– Co za dziwny zbieg okoliczności, bo właśnie i ja wybieram się już do kraju tymi dniami i mam zamiar kilka dni w Dreźnie się zatrzymać dla... plombowania zębów. Może to przesąd, nie wiem, ale do dreźnieńskich dentystów najwięcej mam zaufania, może dlatego, że tam trwa jeszcze tradycja sławnego Jenkinsa.

– Będę najszczęśliwszym, jeżeli pani pozwoli się odwiedzić. Czy mogę zapytać, gdzie się pani zatrzyma?

– W hotelu Buchera.

– I ja tam zwykle mieszkam.

Tenczyński nie wiedział, co o tem myśleć. Czyżby to była jakaś obmyślana kombinacja? Ale jaka?

Nieraz w poufnych pogawędkach pani Julia wyraźny na to kładła nacisk, że nigdy za mąż nie wyjdzie, a innego przypuszczenia nie śmiał jeszcze formułować w swoich myślach. Postanowił tymczasem ze względów pani Julii korzystać, o ile temu okoliczności sprzyjać będą, i czekać cierpliwie dalszego ciągu tej komedii, lub nowej i może bardzo ciekawej fazy swego życia.

W łóżu przez kilka chwil milczenie panowało.

Tenczyński był zły, miał ochotę powiedzieć pani Julii coś przykrego, a równocześnie zbliżyć się do niej i uściskać za to, że ładna i subtelna, ślicznie ubrana i kapryśna.

– Czemu pan tak późno przyszedł? – spytała nagle. – Czy wybierając między mną i ciotką, wybrał pan ciotkę?

– Wybrałem sukcesyę, której bym nie chciał utracić.

– A gdyby pan miał wybierać między mną a sukcesyą?

– Wybrałbym sukcesyę. Wyrzeczenie się sukcesyi byłoby nierozsądkiem, a wyrzec się pani – bohaterstwem. Lepiej uchodzić za bohatera, niż za nierozsądnego.

Odpowiedź ta podobała się pani Julii, i rozmowa znowu nawiązała się więcej swobodna i osobista.

Tenczyński opowiedział jej o poznaniu Ninki Olszyńskiej.

– Bardzo ciekawy okaz ta „panienka z klasztoru” – mówił. – Zdaje mi się, że to jest natura nadzwyczaj wrażliwa, przejmująca się do głębi, bez zastrzeżeń, każdym wpływem, który do niej drogę znalazł. Obecnie jest pod wpływem ascetycznej religijności, i nie uwierzy pani, jakie dziwne wygłasza zdania. Między innemi, naprzykład, że cierpienie jest szczęściem.

– Ależ to skończona dekadentka! – zawołała żywo pani Julia – koniecznie ją muszę poznać! Ha! ha! ha! Szczęście w cierpieniu! Do takiego przekonania dochodzi się po użyciu i nadużyciu wszystkich przyjemności! Dopiero dla bardzo zblazowanych cierpienie jest przyjemnym narkotykiem.

– To tymczasowa faza. Przyjdzie jaki inny wpływ silniejszy i rzucie ją może na wprost przeciwną drogę. Możnaby z niej zrobić bohaterkę, albo męczennicę. Zdaje się, że taki materyał w ręku artysty stałby się arcydziełem.

– Ej, czy pan nie chciałby być czasem tym artystą?
– Może być... czemu nie?... gdybym w obecnej chwili czym innym nie był zajęty.
– A czy można wiedzieć, co jest przedmiotem pana zajęcia? – spytała pani Julia, zlekka się ku niemu nachyliwszy.

Tenczyński z uśmiechem, serdecznie patrzył na nią i rzekł półgłosem, jakby chciał, żeby ton jego miękki, dopełniony spojrzeniem odpowiedniem, był pieszczotą ucha i nerwów:

– Panią tylko jestem zajęty, niczem więcej,

Pani Julia w uśmiechu dała odpowiedź, a chcąc przedłużyć miłe wrażenie, jakiego doznała, usłyszawszy słowa Tenczyńskiego, spytała, nie zmieniając tonu:

– I chciałby pan także i mnie modelować według swego wpływu i woli?

– O! marzenia nie mogą wchodzić w rachubę. W rzeczywistości pani jesteś artystą i urabiasz według kaprysu moje myśli i uczucia.

– A co byś pan na to powiedział... – tu zawahała się i ciągnęła dalej ciszej i wolniej, jakby mu powierzała jakąś ważną tajemnicę: – co byś pan na to powiedział, gdybym naśladować Pigmaliona, zakochała się w moim dziele?

– Przemówiłbym, jak jego posąg, i błagalnie ręce do mistrza wyciągał. Czyby się pani ode mnie odwróciła?

I szukał odpowiedzi na ustach pani Julii. Zdawało mu się, że to, co usłyszy, będzie czymś ważnym, bardzo ważnym, co mu wskaże w oddali może ołtarz i obrączkę ślubną, albo... albo... Ale nie chciał nic jeszcze w myśli formułować, zauważył tylko, że w sali jest do niewytrzymania duszno i gorąco.

Tymczasem pani Julia nie dawała odpowiedzi. Oparła się o rampę łoży i w zamyśleniu patrzyła przed siebie. Tenczyński widział tylko jej profil rozmarzony, i zdawało mu się, że czyta na nim jej myśli. Przypuszczał, że tam w głębinach serca i umysłu toczy się jakaś walka z wrażeniem silnym a upajającym, może ze straszącymi wspomnieniami nieszczęśliwego pożycia z pierwszym mężem, może z obawą zakucia serca w łańcuchy obowiązku i przysięgi, a może... walczyła z jakimś echem tradycji uczciwości, przejętej w duchowej puściźnie po szeregu pokoleń niewiast nieskalanych i przykładnych? O czym myślała? Co mu powie? Tymczasem zdawało się, że myśl jej rozkołysała się w dźwiękach muzyki, której fale zabierały mimowoli czucie i wyobrażenie.

Właśnie w tej chwili był punkt kulminacyjny całej opery, prześliczny duet dwojga kochanków, cały utkany z jakichś dźwięków subtelnych a nieuchwytnych, rozsypanych bez melodyjnego spojenia, jakby gubiących się w pocałunkach lub uśmieszkach. Pani Julia zdawała się zatopioną nie tylko w rozmyślaniu, ale i w muzyce.

Naraz odwróciła się i rzekła naturalnie i spokojnie, tonem, który wcale do poprzedniego nie był podobny:

– Prawda, jaki ten ustęp był prześliczny? Dla takiego kawałka warto się nudzić przez całą operę – dodała niedbale.

Tenczyński oniemiał. Nic nie odrzekł, tylko spojrzał na panią Julię tak, jak gdyby ją ostrzegał, że dzisiejsza zabawka wcale mu do gustu nie przypadła.

Wkrótce widowisko się skończyło, Tenczyński już nie odzyskał swego humoru i ożywienia, chmurny był i mało mówił.

– Pójdę jutro przypomnieć się pamięci ciotki pana – rzekła pani Julia, gdy już byli na schodach; – nie będę miała spokoju, dopóki nie zobaczę tej pana „panienki z klasztoru.”

Tenczyński wyprowadził ją do podjazdu i pomógł wsiąść do powozu.

– Do widzenia! A niech pan jutro po południu na chwilkę do mnie zajdzie; opowiem wrażenia, jakie wyniosę z wizyty u pani Tenczyńskiej – i odwiedzić się kazała do hotelu.

Godzina była dziesiąta rano. Pani Julia i Ninka Olszyńska, ubrane jak do wyjścia na ulicę, siedziały w salonie pani Tenczyńskiej i czekały na przyjscie Tenczyńskiego, aby razem z nim pochodzić po Dreźnie, obejrzeć galerie i inne miejscowe ciekawości.

– Nie umiem opisać – rzekła pani Julia – jak się cieszę na myśl o dzisiejszej wycieczce do galeryi. Lubię tam chodzić, ile razy jestem w Dreźnie. Siedzę czasem godzinami w salach włoskich malarzów i wpatruję się w Madonny, takie idealne i prześliczne. Dobrze jest czasem przypatrzeć się takiej twarzy spokojnej i świętej. To uspokaja i daje wypoczynek po życiowych walkach i rozczarowaniach.

– Ja myślę, że wszystkie walki i gorycze lepiej Panu Bogu ofiarować, niechby je poświęcił na zasługę dla zyskania szczęścia i zbawienia tam, w przyszłości, poza światem... Nie warto w tej doczesnej wędrówce szukać spokoju i wypoczynku.

Pani Julia już trzeci dzień spędzała w towarzystwie Ninki Olszyńskiej. Skoro postanowiła pani Tenczyńska złożyć wizytę, na podstawie, że będąc dzieckiem, widywała ją w domu rodziców, myślała, że zapełni sobie godzinę czasu zajmującą zabawką, jaką miała być „panienka z klasztoru.” Tymczasem owa „panienka z klasztoru” nie dała żadnego widowiska, nie była ani ograniczoną, ani śmieszną, tylko miała jakąś powagę, splątana z urokiem młodości, i jakiś lęk przed życiem i jego walkami, następstwo wychowania odosobnionego i roztkliwionej wyobraźni. Zadziwiło to panią Julię i mocno zajęło.

Fantastycznej pani Julii zdawało się, że uczuła dla Ninki nagłą sympatię, coś w rodzaju kaprysu, jakim był w swoim czasie tenor włoski, pies, muzyka i włosy ryże.

I zdawało jej się, że i ona podzielać zaczyna rozmaite przekonania Ninki, że zaczyna gardzić tak samo światowemi przyjemnościami i uciechami.

Jednak te wszystkie piękne zdania o uczuciach idealnych, o Madonnach i walce ze złem, które jej się w obecności Ninki tak gładko przez usta przesuwają, nie przeszkadzały dalszemu z Tenczyńskim flirtowaniu i zmienianiu kilka razy na dzień prześlicznych toalet na coraz to piękniejsze i więcej oryginalne.

– Pan Władysław jest niesłowny i trochę za długo czekać nam każe – rzekła pani Julia.

Miano się zebrać o dziesiątej, było już po jedenastej, a Tenczyński nie przychodził. Weszła tymczasem do salonu pani Tenczyńska, jak zawsze uśmiechnięta i uprzejma, ale tą uprzejmością, właściwą niektórym kobietom w. wieku podeszłym, w której jest więcej długoletniego przyzwyczajenia i obojętności, aniżeli zajęcia serdecznego.

Nareszcie dzwonek dał się słyszeć, i do salonu wszedł Tenczyński, w towarzystwie drugiego młodego mężczyzny.

– Pan Feliks Maryański, ciociu – zaprezentował. – Pan Maryański przyjechał w zastępstwie swego ojca, który jest chory i nie mógł się stawić na nasze wezwanie.

Feliks Maryański, chociaż na wsi mieszkał, skończonym był prawnikiem i nieraz zastępował ojca w przeprowadzaniu różnych prawnych formalności.

– W takim razie rozchwiać się musi nasza wycieczka – rzekła pani Julia. – Panowie zaczniecie mówić o interesach, a galerya o drugiej już zamknięta.

Ale uradzono, że rozmowę o interesach na południe można odłożyć.

– Czy i pan pójdzie z nami? – spytała Maryańskiego pani Julia.

– Z całą przyjemnością, jeżeli panie towarzyszyć sobie pozwolą – odrzekł.

Był to człowiek średniego wzrostu, szatyn, o rysach szablonowych, nie brzydki, ani przystojny, taki, jakich się w życiu tysiące spotyka. Oczywiście miał sprytne, okazujące rozsądek i logikę. Ojciec kierował go na adwokata, chcąc mu zostawić w puściźnie nie tylko duży majątek, zebrany z adwokatury, ale i swoją klientelę, rozgałęzioną głównie w arystokratycznym świecie. On jednak, doszedłszy do wieku, w którym należało się ustalić, kupił majątek i oddał się wiejskiemu gospodarstwu, nie tyle może z zamiłowania, ile z przewidywań rozmaitych względów towarzyskich i światowych. Skombinował od razu, że właściciel ziemskiej majątności inaczej jest widziany w „wyższym towarzystwie,” aniżeli młody adwokat, chociażby bogaty, ale nie posiadający jeszcze milionów, któreby mu mogły dać od razu wybitne stanowisko i przewagę. A chodziło mu mocno o to „postawienie” się w „towarzystwie,” najkrótszą zaś do tego drogą wydawało mu się szczęśliwe ożenienie z kimś

należącym do „high-life’u.” Trudniej zaś byłoby to skutecznie początkującemu adwokatowi, anizeli właścicielowi dóbr, niewielkich wprawdzie, ale rzeczywistych, nie fikcyjnych, mogących przybrać poważniejsze rozmiary po śmierci starego Maryańskiego.

Był w ciągłym oczekiwaniu czegoś niespodziewanego, czegoś, coby go „postawiło” wyrwało z niewyraźnego tłumu miejskiej młodzieży, tych „nobodies” salonowych, służących do zaczerpnienia balów i za tło dla damskich toalet; „czegoś,” coby mu pozwoliło upozować się na stałe w jakiejś roli oznaczonej: „dobrego księcia,” albo zblazowanego sybaryty, protektora krajowego przemysłu, albo dyletanta w dziedzinie sztuki, zależnie od koteryi, z której by dostał żonę z majątkiem i nazwiskiem.

Ponieważ prawie każdy człowiek stara się pozować na co innego, niż jest w istocie, Maryański, na tymczasem, zadowalał się kopiowaniem Tenczyńskiego we wszystkich szczegółach wewnętrznych i zewnętrznych, zachowując jednak tę różnicę, że jeżeli naprzykład Tenczyński w przejażdżkach lub na wyścigach używał monokla, Maryański rozdierał sobie nim oko na wszystkich wizytach i u siebie w domu, jeżeli Tenczyński był lekko ironiczny i czasem złośliwy, Maryańskiemu w wielkim zapale zdarzało się powiedzieć impertynencye – kopia była, jak wszystkie kopie, przesadna i nie umiejąca zachować *le juste milieu*.

Dano hasło do wybierania się; ożywiona i chciwa wrażeń czwórka wyszła na ulicę.

Na dworze było jasno i ciepło, jak to niekiedy bywa w dzień późnej wiosny: kiedy niekiedy, jako zapowiedź lata, jakiś skwarny promień słońca dopiecze zuchwale i dotkliwie, ale zuchwalstwo jego nie przybiera jeszcze formy ognistej swawoli i nie wypala z powietrza świeżych powiewów, a z przyrody żywych i młodych barw wiosennych.

Te świeże wiosenne słoneczne podmuchy płynęły z niedalekiej Saskiej Szwajcaryi, błąkały się na ulicach Drezna, budząc chęć do życia, zabawy i wesołości, płacząc promienie słońca z jasnymi wiosennymi toaletami, zieleniąc klomby ogrodów i skwery publiczne.

Pani Julia szła z Maryańskim, puszczając naprzód Ninkę i Tenczyńskiego. Miała w tem swoje przezorne wyrachowanie: nie chciała Tenczyńskiemu okazywać większego zajęcia, aby Maryańskiemu nie przyszły do głowy jakieś niepotrzebne spostrzeżenia, mogące zrodzić plotkę, niekoniecznie dla niej dogodną i pożądaną.

Rozmawiała z nim uprzejmie, nawet, gdy już weszli do galeryi, zdawała się zapominać o gorących postanowieniach wpatrywania się w Madonny i twarze Świętych, dla wypoczynku myśli „po życiowych walkach i trudach,” zajęła się natomiast wypytывaniem Maryańskiego o warszawskie nowinki i skandaliki. Chęć dowiedzenia się o bliżnim czegoś drażliwego i możliwość powiedzenia na tem tle jakiejś zręcznej złośliwości były myślą najświeższą i ostatnią, za nią więc poszła, nie bacząc na poprzednie.

Tenczyński i Ninka ginęli im czasem z oczu w małych bocznych gabinetach. Tenczyński z umysłu Ninką był wyłącznie zajęty: chciał trochę odwetu za oziębłość nagłą pani Julii, która w ostatnich dniach przesiadywała u jego ciotki i zajęta była wyłącznie budującymi rozmowami z „panienką z klasztoru.”

– Przejdźmy do wielkiej sali mistrzów hiszpańskich – rzekł, – pokażę pani obraz, który na mnie największe z całej galeryi zrobił wrażenie.

Ninka z ciekawością poszła za nim. Tenczyński stanął przed obrazem Eibeiry, przedstawiającym świętą Agnieszkę.

– Niech się pani dobrze wpatrzy w twarz tej dziewczynki – ciągnął dalej; – dla mnie, ta twarz, taka niewinna i dobra, zarazem święta i dziecinna, uosabia najidealniejszą formę, jaką może przybrać dusza kobieca.

Ninka na obraz patrzyła z zajęciem i czuła, że ją wzruszają słowa Tenczyńskiego.

– Przecudna! Dobra i święta, toteż poszła na męczeństwo, na chwałę Bożą, bo jej szkoda było dla świata. Ludzie ówczcześni stracili bardzo wiele.

– Tak pani sądzi? A mnie się wydaje wprost przeciwnie. Nawet pewny jestem, że święta

Agnieszka nie byłaby życiem swoim, które przeszłoby niepostrzeżone, oddała drugim tyle przysług, ile świętością i męczeństwem, przygotowując swoim przykładem, wspólnie z wielu innymi, cały zastęp tych późniejszych Świętych, które czują, myślą i cierpią... za odkupienie i zbawienie lubiących się bawić grzeszników.

Tenczyński ostatnie słowa wymówił z uśmiechem; chciał przypomnieć jej pierwszą ich rozmowę i uwagi, które wtedy wypowiedział.

Ninka była uszczęśliwioną, czuła w jego słowach uznanie i zrozumienie jej myśli i dążeń.

– Nie przypuszczałam, że Święte mają w panu wyznawcę tak gorliwego – zauważyła.

Wogóle Tenczyński zaczynał być dla niej niezrozumiałym, przypominała sobie bowiem z ubiegłych dni różne szczegóły zachowania się jego względem pani Julii i różne zdania głośno wypowiedzane, nie mające z zamięłowaniem do świętości nic wspólnego.

Tenczyński znów się uśmiechnął i rzekł z widocznym odcieniem szczerości:

– Widzi pani, każdy człowiek z tego, co go otacza na świecie, wybiera to, co mu się wydaje najpiękniejszym i najlepszym, to stawia na jakiejś wysokości i uważa za swoje bożyszczce, za najdoskonalszy wyraz stworzenia. Bożyszczem na ołtarzu moich pojęć jest kobieta dobra i cnotliwa. Ludzie bez stawiania ołtarzy żyćby nie mogli.

Ninkę słowa Tenczyńskiego w zachwyt wprowadziły. Byłaby go z przyjemnością wzięła za rękę, uśmiechnęła się i z zapalem powiedziała:

„A ja na ołtarzu moich pojęć ciebie postawię, za to, że rozumiesz to, co jest piękne i dobre, za to, że uznajesz i szanujesz to, co jest moim ideałem i dążeniem, i za to... że masz uśmiechy tak zdradzieckie i czarujące, jakich nigdy przedtem u nikogo nie widziałam.”

Ale milczała, słuchała tylko objaśnień Tenczyńskiego, dotyczących się obrazów i malarzy.

Byłaby mocno zdziwioną, gdyby jej był kto powiedział, że jeżeliby Tenczyński chciał swoje rozumowanie do końca konsekwentnie doprowadzić, według tego, jak zwykle myślał i postępował, musiałby ciągnąć mniej więcej w sens następujący:

„Rozumiem, przyznaję rację bytu i schylam czoło przed cnotą i dobrocią, ale w kwestiach tych wolę zachować stanowisko dyktanta, który, obejmując rozumem wiele dróg i celów, wskazanych przez wielkich i szlachetnych, te tylko wybiera dla własnego zastosowania i użytku, które są dogodniejsze i bardziej przyjemne. A jeżeli dobrą i cnotliwą kobietę postawi na ołtarzu czci i szacunku, to ją wnet zostawi w spokoju, a pójdzie za mniej dobrą i mniej cnotliwą, ufny, że tamta nawet pomimo jego nieobecności nie zejdzie ze swego ołtarza.” Przeszli do sali niderlandzkiej. Tenczyński zatrzymał się z uwagą przed obrazem Rembrandta: „Ofiara Manoacha i jego żony.”

– Jakaż siła i groza w wyrazach tych twarzy! – rzekła Ninka, wpatrując się w Rembrandtowskie arcydzieło.

– Dla mnie obraz ten jest potęgą – odrzekł Tenczyński. – Trzeba być prawdziwym artystą, żeby tyle wielkich uczuć uwiecznić w jednej twarzy i umieć je wywołać w umyśle widza. Jest tu i groza na wspomnienie krwawej ofiary całopalenia i siła woli, która ich do tego popchnęła, i wielka jakaś wiara, i ufność w Boga, na którego cześć palą ofiarę. Ten obraz wzrusza.

Przez długą chwilę przyglądali się malowidłu. Potem Tenczyński, jakby sobie coś nagle przypomniał, oczyma po sali powiódł, a na twarzy jego odbiło się pewne zniecierpliwienie.

Gdzie się podziała pani Julia? Złość go naraz ogarnęła za to, że go zaniedbuje i zdaje się nie dbać o jego towarzystwo. A że wszystko kończyło się ironicznym uśmiechem i uwagą odpowiednią, spojrzał na obraz, jakby się chciał na nim zemścić za kaprysy pani Julii.

Po chwili obserwacji, zauważywszy, że Tenczyński oczyma szuka pani Julii, a nie widząc jej, w ironii daje ujście swojemu niezadowoleniu, rzekła nieśmiało:

– Zdaje mi się, że pan należy do tych ludzi, którzy przez zwyczaj i względne otoczenie śmieją się głośno z tego, przed czym zginają kolana po cichu i w głębi serca.

Nie przypuszczała, że w jej intuicyjnej uwadze mieści się określenie całej duchowej istoty Tenczyńskiego.

Tenczyńskiemu podobało się to określenie.

„Ta mała wcale nie jest głupia” – pomyślał sobie, a głośno dodał:

– Posiadasz pani dar przeczuwania. Czy potrafiłaby pani przeczuć tak samo, gdzie obecnie znajduje się pani Julia? Powinniśmy się na nią obrazić, tak nas nieparlamentarnie opuściła.

– Pewno jest w sali włoskich mistrzów – rzekła chłodno; – mówiła mi, że najlepiej lubi włoskie obrazy.

Ale pani Julii nie trzeba było szukać tak daleko. Zaledwie weszli na schody, prowadzące do okrągłej rotundy z gobelinami, skąd było zejście do włoskiej sali, zobaczyli ją i Maryańskiego, siedzących w tej rotundzie. Sami byli, zajęci rozmową, nie zważając wcale na zwieszające się wokoło nich prześliczne gobeliny. Tenczyński na ostatnim już stopniu nogę stawiał, gdy ujrzał naraz, jak Maryański rękę pani Julii do ust podniósł. Coś się w nim zaburzyło i zatrzęsło, a przez myśl przebiegły następująco słowa:

„Ten idyota do reszty zgłupiał i już mu się zupełnie w głowie przewróciło.”

Przyśpieszył kroku, Ninkę we drzwiach wyprzedził i znalazł się niespodzianie przy rozmawiającej parze. Nie pytając się, wziął pod rękę panią Julię, przycisnąwszy dość silnie, zmusił do powstania, i rzekł tonem, nawpół uprzejmym, a nawpół szorstkim:

– Jeżeli się pani wcale obrazami nie zajmuje, warto przynajmniej dla Madonny Sykstyńskiej zrobić wyjątek – i zwrócił się szybko w stronę Rafaelowskiego gabinetu.

Maryański i Ninka poszli za nimi. Maryański uśmiechał się i myślał, że tam „coś” być musi, a ten wspólny pobyt w Dreźnie nie pochodzi chyba z samego tylko przypadku. Ninka zaś zaczęła dostrzegać wyraźniej sympatię między panią Julią a Tenczyńskim. Doznała wrażenia, jakby się jej działa jakaś krzywda, jakby jej zabierano jakiś przedmiot, którego formy i nazwy niezdolną była określić, jakby się ktoś zaśmiał krzykliwym i ochrypłym dysonansem, nie tylko uszy szarpiąc boleśnie, ale jeszcze i głębiej odbijając fałszywe echo, słowem – ogarnęły ją jakieś nieokreślone uczucia smutku i żalości, dla których nie miała jeszcze nazwy, ani ich dokładnego zrozumienia.

Pani Julia i Tenczyński znacznie tamtych wyprzedzili.

– Za cóż to Maryański tak serdecznie pani dziękował? – spytał z oznaką złego humoru.

Podobało jej się znalezienie Tenczyńskiego. Dał jej do zrozumienia, że nikomu w drogę wchodzić sobie nie pozwoli i zabierać praw, których ostatecznie on sam jeszcze nie posiadał. To też pani Julia, lubiąca swoim pokornym wielbicielom wchodzić na głowę i niebaczna na zmysł czucia, wyrabiać tam różne harce fantastyczne, spokorniała nagle i rzekła z przymileniem:

– Pozwoliłam mu się w Warszawie odwiedzać, i to go wprawilo w taki zachwyt. Silił się, aby mnie bawić, ale ja tymczasem o panu ciągle myślałam, i przykro mi było, że pan zupełnie nie troszczy się już o mnie.

Dużo było osób w gabinecie Madonny Sykstyńskiej, przeważnie Amerykanów i Anglików, zajętych podkreślaniami w Bedeckerach ustępów, Madonnie poświęconych.

To samo uczynił i Maryański, będąc wyłącznie zajęty panią Julią i Tenczyńskim. „Tam coś jest” – myślał ciągle i dalej w następstwie kombinował sobie, że jeżeli rzeczywiście tam „coś jest,” to on, jako świadomy rzeczy, powinien czuć, i jeżeli nadarzy się sposobność, zużytkować dla siebie tę tajemnicę. Miał ciągle na myśli swoje „postawienie się” w stosunkach towarzyskich. Posiadanie tego sekretu mogło go zbliżyć więcej do Tenczyńskiego, z którym zażyłość, ze względu na jego znaczny majątek i nazwisko, miała także swoje znaczenie.

Nie podoba mi się taka ciemna karnacya ciała – rzekła pani Julia. – Ta Madonna wygląda jak nieumyta.

Tenczyński nie patrzył na Madonnę; ale na panią Julię.

Ninka była smutna, rzuciła na obraz spojrzenie zupełnie obojętne.

Nie spodziewała się wielu wrażeń, a jednak doznała dziwnego wzruszenia, gdy stamtąd, z

tego obrazu spojrzwały na nią oczy jakby żywe a precudne, zajrzały do głębi serca i myśli. Zdawało jej się, że dusza jej bratnia, tak samo smutna, patrzy na nią temi oczyma.

Wrażenie to jednak trwało zaledwie kilka sekund, pani Julia bowiem, wypowiedziawszy o Madonnie powyższe spostrzeżenie, wyszła do sali sąsiedniej. Twierdziła, iż taka moc obrazów miazdży jej nerwy swoją ilością i wielkością, zatem czas wrócić do domu i dobrem śniadaniem pokrzepić siły nadwątłone.

Ninka obiecywała sobie, że tu niezadługo powróci, aby się przyjrzeć lepiej tej Madonnie legendowej, której oczy głębokie, smutne a dobre, szły za nią, jak wspomnienie jakiegoś idealnego objawienia, jak żywa istota, rozumna, kochająca.

„Cała rzecz w tem, że jestem niemądra, a przytem egoistka i zazdrosna, zarozumiała i zawistna.”

Powyższe komplementa Ninka powtarzała sobie uporczywie przez cały dzień następny, chcąc znaleźć wytłomaczenie swoich uczuć bolesnych i jakby dotkniętych do żywego widokiem gorącej sympatii, panującej między panią Julią, a Tenczyńskim.

„Opanowały mnie niskie, ziemskie uczucia. Chciałabym, żeby wszystkich oczy na mnie jedną były zwrócone; zdawało mi się w mojej zarozumiałości, że to będzie zupełnie naturalne, a gdy jest przeciwnie, kiedy ktoś ode mnie godniejszy i piękniejszy wyróżnia się i górę bierze, zdaje mi się, że mnie spotyka jakaś krzywda osobista, a tymczasem to tylko moja miłość własna i pycha na próbę były wystawione, ja zaś niegodna, zamiast zapanować nad moimi niskimi uczuciami, brudzę sobie serce jakąś goryczą i smutkiem.”

Zdawało jej się, że zarzuty te są trafne i logiczne, że powinny odwrócić jej myśli od tego dziwnego przygnębienia, o którym powtarzała sobie, że jest bezzasadne i ubliżające; myślała, że argumentami tymi powróci sobie dawny spokój umysłu, niezmacony żadną burzą uczucia, ani nieznanem wstrząśnieniem serdecznem; że przestanie zajmować się sympatią tamtych dwojga, że niepokojące wspomnienie Tenczyńskiego ustąpić powinno z myśli i zasunąć się powoli w niepamięć obojętną.

Ale tymczasem tak nie było. Smutek, nazwany raną pychy i zazdrości, nie ustępował z myśli, zajętych bezustannie tym samym przedmiotem, ścisnął jej serce w obecności Tenczyńskiego i pani Julii i rósł prawie z każdą godziną, z Tenczyńskim spędzoną, który, jakby na urąganie, myśli jej i uczucia przykuwał do siebie coraz więcej.

Spartańskie Ninki pojęcia o bezpretensjonalnym, skromnym ubiorze, uległy pewnej zmianie. Ulubiona dawniej gładka czarna suknia rozkoszowała się spoczynkiem w głębi szafy, a niebieska z koronkami widywała teraz codziennie wieczorem światło lampy. Znalazł się również powód do usprawiedliwienia tej większej w toaletach staranności. Przypomniła sobie Ninka twierdzenie Tenczyńskiego, że kobieta, nie umiejąca się ładnie ubrać, zdradza małą inteligencję i brak sprytu. Nie mogła się przecież na to narazić, aby ją uważano za jakąś ograniczoną gąskę i bezmyślną.

Ninka, od czasu poznania pani Julii, wszystkie prawie godziny dnia miała wypełnione jej towarzystwem. Kiedy panowie byli zajęci naradami i przeglądaniem jakichś papierów, przez Maryańskiego przywiezionych, panie wędrowały po muzeach i używały w odkrytym powozie zamiejskich spacerów.

Nareszcie projekt wielkiego pieca w Zaleszynie należycie rozważono. Tenczyński i Maryański do kraju się już wybierali.

Stało na tem, że towarzyszyć będą w podróży pani Julii, która także na wyścigi zdążyła do Warszawy.

Ostatniego dnia przed wyjazdem, pani Julia, wszedłszy do mieszkania pani Tenczyńskiej po jakiejś z Ninka na miasto wycieczce, rzekła, śmiejąc się, do tych panów, czekających jej powrotu:

– Nie. Panna Janina warta jest, żeby ją jak dziwowisko w ramki oprawiono. Niech państwo sobie wyobrażą, że jeszcze nigdy w życiu nie była na operze. Otóż dziś, wszyscy, dla miłości

panny Janiny, pójdziemy we czworo do teatru. Doskonała sposobność, bo dają „Fausta.”

Długo się nie namyślano, gdy wieczór nadszedł, Maryańskiego posłano po bilety, a panie tymczasem zajęły się toaletą.

Ninka była w doskonałym humorze; teatr jej ogromnie się podobał, przyglądała się wszystkiemu z wielkim zajęciem.

W łoży Maryański usiadł obok niej i dawał jakieś objaśnienia; Tenczyński tymczasem nachylił się do pani Julii:

– Mam do pani prośbę... – rzekł półgłosem.

– Pan?... Czyż pan potrafiłby zniżyć się do prośby? Myślałam, że pan tylko tych rzeczy pragnie, które sobie prawem kaduka, bez proszenia, można przywłaszczyć. A jeśli odmówię?

– mówiła z uśmiechem, myśląc o różnych drobnych szczegółach jego postępowania, mających na celu zagarnięcie nad nią panowania, w sposób dosyć despotyczny i zuchwały.

– Są prośby – rzekł – które odmowę wykluczają, gdyż zbyt wielką robią przyjemność tym, do których się stosują.

Pani Julia pytała oczyma o treść tej prośby, niepewna i ciekawa, czy wypadnie jej obrazie się, czy też spełnić jego życzenie.

– To wielka drobnostka. Chciałbym, żeby pani nie patrzała tak bezustannie na scenę, ale zwracała się czasem w moją stronę, żebym mógł mieć na chwilę przed oczyma profil pani. Niczego mi więcej nie potrzeba tego wieczoru dla mojej przyjemności. Jeżeli nie spodziewam się odmowy, to dlatego, że wiem, iż każdemu robi to wiele przyjemności, gdy mu się ktoś przypatruje z zajęciem i... i... zachwytem.

– Może dla mnie zachwyt pana nie będzie przyjemnością i odmówię.. – rzekła z kokieterią pani Julia.

– Nie odmówi pani.

– Czy pan jest tego bardzo pewny?

– Będę mówił takie ładne i zajmujące rzeczy, że się pani mimowoli ku mnie odwróci i nachyli,

– Niewiadomo, czy słowa pana byłyby ładne i zajmujące. Co za zarozumiałość!

– Są argumenty, których każda kobieta bez wyjątku słucha z zajęciem.

– Pana pewność siebie i lekki sąd o kobietach wyprowadzić mogą z ostatnich granic cierpliwości. Doznałabym prawdziwej przyjemności, gdybym mogła wachlarz na panu złamać.

– Byłoby to narzucenie swego zdania „prawem kaduka.”

Pani Julia lubiła u niego ten ton ironiczny. Wogóle ostatnimi dniami zapatrywania jej, tyjące się Tenczyńskiego, ulegały pewnej powolnej zmianie.

Nawpół jeszcze nieświadomie nabierała przekonania, że ma on nad nią większy wpływ, aniżeli początkowo przypuszczała, że uczucie jego jest jakieś niebezpieczne a wabiące, nie uniżone i błagające zlitowania, ale oparte na silnej woli, która ma urok swój odrębny, zawrotliwy i drażniący.

Przedstawienie tymczasem było już rozpoczęte, Ninka była zapatrzona i zasluchana.

Muzyka ją rozrzewniała i podniecała. Doznawała wrażenia, jakby każdy smutniejszy zwrot melodyjny znajdował na jej nerwach ton odpowiedni a bolesny, ilustrował jej własne nieokreślone roztkliwienie, podsuwając różne spostrzeżenia i porównania. Zdawało jej się, że widzi w Małgorzacie duszę bratnią. I tamta z czystymi myślami i sercem wychodziła z Bożego przybytku, oczy miała w dół spuszczone i spokojne, chyba tylko wzrokiem duszy szukała światłości dobra i cnoty – tymczasem szatan pokusę przed nią postawił, rozdmuchał żary i wichry walk wewnętrznych, a gdzie będzie ich koniec i kres?...

I jej się zdawało, że na życiową wędrówkę do udoskonalenia i dobra wstąpiła ze spokojem i ufnością, kiedy niespodzianie, po kilkunastu dniowym zetknięciu się z ludźmi obcymi, zamęt dziwny powstał w jej myślach, i jakiś szatan z rysami i głosem Tenczyńskiego oddalał ją od

życia pełnego duchowej równowagi, odbierał chęć do zajęć, cudze dobro a osobistą zasługę mających na celu, rozbudzał jakieś uczucie gwałtowne i nieznane, cechujące ziemskie słabości i zawiści. Co to jest?... Gdzie spokój myśli, który się jej do osiągnięcia tak łatwym zdawał? Gdzie się podziało jej zamięłowanie cierpienia i postanowienie pracy dla przyszłości zagrobowej, jeżeli ją opanowały marzenia o jakimś ziemskim szczęściu i radości? Chyba szatan zsyła jej te myśli na pokusę i udręczenie.... Następstwem pokusy musi być walka, a wrażliwy umysł Ninki drżał przed próbą i wysiłkiem!

Podczas jednej ze scen końcowych, kiedy Małgorzata walczy z Faustem i nie pozwala mu się wciągnąć do piekła, pani Julia odwróciła się do Tenczyńskiego i rzekła półgłosem:

– Ona go prawdziwie nie kochała W miłości nie rozumuje się, ale idzie naoslep... A pan czyby ze mną poszedł do piekła? – dodała nagle z dziwnym uśmiechem.

– Poszedłbym, bo gdzie pani jest, niema piekła. Ale żądałbym w nagrodę chociażby jednego uśmiechu.

– Lepiej nic nie żądać, bo może moja wspaniałomyślność byłaby większą, niż pana żądanie...

Powiedziała to z uśmiechem zagadkowym i znów odwróciła się do sceny. W loży przez ten czas nikt nie rozmawiał, i słowa ich, choć półgłosem wymawiane, doszły wyraźnie do uszu Ninki.

Coś ją ścisnęło za serce i za gardło; myślała, że to współczucie dla biednej, nieszczęśliwej Małgorzaty.

Tymczasem muzyka ozwała się rytmicznymi tonami marsza i nadeszła ostatnia scena przedstawienia.

Czysta i biała dusza Małgorzaty unosiła się pod skrzydłem anioła w niebieskie przestworza, do stóp Boga, po uspokojenie i nagrodę.

Nince zdawało się, że doznaje lekkiej otuchy. Przecież nawet i na scenie nie zawodzi ufność w skrzydło opiekuńcze i w spokój, choć oddalony, ale istniejący!

Przedstawienie się skończyło, wszyscy opuszczali swoje miejsca.

– A teraz proszę państwa do mnie na herbatę – rzekła pani Julia, – pannę Janinę po herbacie dopiero odwieziemy pani Tenczyńskiej....

Ninka się nie opierała i pojechała do hotelu. Pani Julia kazała podać herbatę, a zainstalowawszy się wygodnie na kanapie, pytała się Ninki o wrażenia, z teatru wyniesione. Tenczyński był zamyślony.

– Panu Tenczyńskiemu czegoś w Dreźnie brakuje – rzekła pani Julia; – czy czasem nie zielonego stolika, nicejskiego towarzysza godzin wieczornych?

Trochę w tem było złośliwej aluzji do jego zamięłowania w grach hazardowych, któremu, podczas pobytu w Nizzy, dawał szerokie i dość rozgłośne ujście.

– Rzeczywiście, – odrzekł – grałbym dzisiaj z wielką przyjemnością.

– Nie radziłabym. *Vous savez le proverbe. Malheureux en jeu...* – i pani Julia z zalotnym uśmiechem przechyliła się w jego stronę, oczyma dopowiadając koniec przysłowia.

– Czy pan pamięta wtedy w kasynie nicejskiem, kiedy pan grał na złość złej *veine*’ie, a ja ciągle mówiłam, że pan przegra?

– Pamiętam, że pani uśmiechała się wtedy łaskawie, i nie żałuję wcale tych przegranych czterdziestu tysięcy.

Ninka, która więcej uważała na słowa Tenczyńskiego, aniżeli na to, co jej Maryański opowiadał, skoczyła na te słowa i spytała ze zdumieniem:

– Jakto? I pan przegrał taką masę pieniędzy? Czyż to istnieją takie gry? To grzech podobno hazardować sumy tak wielkie!

Wszyscy śmieli się głośno ze zgorszenia Ninki. Jej zaś szybko stanęły w pamięci rozmaite szczegóły, zasłyszane i przeczytane o ludziach, którzy mienie na karty tracą, których pobożni piętnują mianem grzeszników, gubiących siebie i rodziny.

Jakto? Ten Tenczyński, pełen uroku, który rozumiał tyle uczuć pięknych, myśli jej czarował i marzenia budził, – ten Tenczyński byłby potępienia godnym szulerem, tracącym jednym odkryciem karty sumy ogromne, któremi można tysiącom nieszczęśliwych łzy obetrzeć?

– Proszę, bardzo proszę, niech mnie pani nie posyła jeszcze na dno piekła; nie należę wcale do najgorszego gatunku graczy. Widzi pani, to jest taka sama zabawa, jak i każda inna, i tak samo, jak i za inne, płacić trzeba. Kto inny znajduje przyjemność w koniach, w podróżach, w kolekcjonowaniu lub też ubraniu, ja zaś – w hazardzie, na który poświęcam sobie z rocznego dochodu pewną sumę oznaczoną. Jeżeli ją przegram, do końca roku kart do ręki nie biorę i jestem w porządku z kieszenią i sobą samym. Częściej jednak więcej mam do przegrania, niż to, co z dochodu na to przeznaczam, gdyż także poświęcam na ten cel wszystkie wygrane.

Rozumowanie to miało swoją logikę, i Ninka, zawsze łatwowierna i ulegająca wpływom, rozbroiła się trochę względem hazardujących i hazardu, mając jednak jakieś przecucie, którego jeszcze wyrazie nie umiała, że zgubne są i złe te zabawki, które podniecają ludzkie namiętności i grają na ich strunach.

– Ja adoruję hazard! – rzekła z przejęciem pani Julia. – Czasem urządzam u siebie w Warszawie niewinnego baczka, w tym małym moim buduaru. Robię to jednak w wielkim sekrecie przed starszemi paniami, niemożliwemi zwykle purytankami, którym zawsze zostawiam na pastwę duży salon oficjalny. To tak zabawnie broić w sekrecie pod bokiem tych pań i hazardować, udając, że się pasyansa stawia, lub gra w garybaldkę albo quick’a!

– Powracając do hazardu – rzekł Maryański, który chciał poznać dokładnie zapatrywania Tenczyńskiego – czy pan zawsze siada do gry z ludźmi, o których pan wie, że przegraniem sumy, dla pana drobnostką będącej, nie doprowadzi ich do ruiny i krytycznego położenia?

– Nie jestem niczym opiekunem, ani guwernerem i nie zmuszam nikogo, by mi placu dotrzymywał. Sam dla siebie szukam rozrywki, a jeżeli ktoś przy tej sposobności okazuje lekkomyślność i słabość charakteru, nie mogę być za to odpowiedzialnym. Mam dla takich lekceważenie i litość, ale im gry nie odmawiam. Wolna każdemu wola.

– Ale jest pan złym przykładem i pokusą – rzekła żywo Ninka; – grzeszy pan przez uczestnictwo w nierozważnym postępku.

Mocno się zaczerwieniła, gdyż zlekła się śmiałości swego wystąpienia. Wszyscy się znowu śmiali, a pani Julia rzekła żartobliwie:

– Brawo! klasztorna panienczko! Jesteś pani stworzona na misyonarkę. I ja w zupełności podzielam zdanie pani, ale mimo to, jak się sposobność trafi, zawsze będę hazardowała. Czasem sobie naumyślnie pozwalam na małe grzeszki, żeby później nie być w kłopotcie na Wielkanoc i mieć się z czego wypowiadać. Po herbacie Ninkę odprowadzono. Na ulicach było pusto, powietrze było ciepłe i spokojne.

– Niech pan Władysław idzie z panną Janiną i naprawi zgorszenie, jakiego był przyczyną – rzekła pani Julia, która chciała Maryańskiemu powiedzieć tymczasem trochę uprzejmości dla zatarcia w jego pamięci kilku swoich spojrzeń i uśmiechów bardzo śmiałych, tego wieczoru do Tenczyńskiego skierowanych. Tenczyński podał ramię Nince i szli razem.

– Gzy panią rzeczywiście zgorszyła ta wiadomość, że jestem miłośnikiem hazardu? Czy rzeczywiście pani potępiłaby mnie za to, że lubię uprzyjemniać sobie życie?

– Bałabym się takich przyjemności. Zdaje mi się, że wrażenie przy grze hazardowej musi być tak silne, że pewno więcej męczy, aniżeli zadowala.

Ogarnęła ją jakaś pobłażliwość dla Tenczyńskiego; zdawało się jej, że to, co on czyni i mówi, powinno być zawsze dobre i słuszne, i że w tej ich obecnej rozmowie, wśród ciszy wieczoru i odosobnienia, idąc tak we dwoje obok siebie, głos jego przybiera odcienie miękkie i łagodne, jakby stworzone tylko dla wyrazów dobrych, serdecznych i tkliwych, kołyszących myśli do marzenia rozkosznego.

– Widzi pani, – mówił do niej – według mnie, człowiek wtedy tylko żyje prawdziwie, kiedy odbiera wrażenia, czasem rzeczywiście są one tak silne, że jak narkotyk sprawiają zawrót i omdlenie, ale w tem właśnie jest cała rozkosz.

Dziwnem wydało się Nince to rozumowanie. Pierwszy raz słyszała, żeby ktoś cel życia zakładał na pogoni za wrażeniami i cenił wartość jego według ich ilości. Ale tłómaczyła sobie, że myśli Tenczyńskiego chyba tylko chwilowo zatrzymują się na tem dziwnem i czczem rozumowaniu, że gdyby ktoś bardzo kochający objął go ramieniem i dobierając słów przekonywających, jak to umieją czynić ci, którzy kochają, powiedział, że szkoda marnować życie na taką błahą pogoń, bo ono nam dane, aby ducha doskonalić w jego walkach i zanieść potem jak dyament czystym i szlachetnym w lepsze światy, – toby przecież umysł jego, rozumiejący dobro i piękno, dostrzegł i objął ten wielki i szeroki horyzont myśli i skierował się do pracy na tem polu.

Ninka jednak nic nie mówiła, czuła się nieśmiałą, jak nigdy jeszcze przedtem, odurzona głosem Tenczyńskiego.

– Suma wrażeń przyjemnych, które się przyjmuje ze spokojnym uśmiechem zadowolenia, jest tak ograniczoną, że trzeba dla różnaitości szukać rozrywki we wrażeniach, które na pozór przykremsi się wydają. Jak dla mnie, to nawet emocya, doznana przy przegraniu w karty, jest pewnem przyjemnem wrażeniem. Samo wzruszenie stanowi przyjemność, o jego zaś źródle i skutkach nie warto myśleć. Znałem naprzykład pewną kobietę z bardzo subtelnymi nerwami, która zawsze twierdziła, że płacz robi jej wielką przyjemność, że może płakać bez żadnej przyczyny i bez powodu: ot, tak sobie.

– To mi się wydaje chorobliwem i nienaturalnem – odważyła się zawyrokować Ninka.

Zatrzymano się tymczasem, gdyż już stano przed drzwiami willi pani Tenczyńskiej.

Nince zdawało się, że szła zaledwie kilka sekund.

– Dobranoc, zobaczymy się zatem jutro na kolei; niech pani nie zaśpi, musimy się jeszcze raz pożegnać – rzekła pani Julia. – A niech się pani Mefisto nie przyśni.

Drzwi otworzono. Ninka weszła do przedpokoju, a tamci odeszli.

Bardzo wolno szła na górę, doznawała wrażenia, jakby ją ktoś ze snu przebudził, i żał jej się zrobiło, że dalej nie śni.

Przechodząc koło sypialnego pokoju pani Tenczyńskiej, zauważyła światło i przez szklane mleczne drzwi, na korytarz prowadzące, niewyraźną sylwetkę ciotki, przy biurku siedzącej. Zaniepokojona, czemu pani Tenczyńska jeszcze nie śpi, weszła i spytała ją troskliwie o przyczynę tak długiego czuwania.

– A! To ty, Ninko? Dobrze, żeś przyszła-O tobie właśnie myślałam. Siądź, moje dziecko, pogawędzimy trochę.

Ninka była rada zaproszeniu i rozmowie; przeczuwała, że gdyby się zaraz znalazła u siebie, smutne myśli by ją opadły w samotności i rozmarzeniu, wywołane rozmową z Tenczyńskim.

– Moja Ninko, jutro, jak pójdziesz na banhof pożegnać się z panią Nessel, to oddasz ten list, który teraz właśnie piszę, Maryańskiemu. Jest to list do jego ojca. Ani się domyślasz – tu pani Tenczyńska znacząco się uśmiechnęła – że w tym liście o tobie jest tylko mowa.

– O mnie, ciociu?

– Tak, ale nie rób takich wielkich oczu, Ninko. Dobrze, żeś weszła do mnie, to odrazu dzisiaj, a nie jutro rano, jak miałam zamiar, pomówię z tobą o tem, co napisałam. Żałuję bardzo, że stary Maryański sam tym razem do Drezna nie przyjechał, byłabym z nim wszystko ustnie omówiła; z młodym niepodobna. Dla tego też, choć *a contre-coeur*, muszę się listem posłużyć. Tak, moje dziecko, o tobie tam jest tylko mowa, ponieważ już jesteś panną dorosłą, o której przyszłości, nam starszym myśleć wypada. Mówię z tobą otwarcie i poważnie. Chciałabym, żebyś się na życie zdrowo zapatrywała, a nie urabiała sobie pojęć według jakichś rojeń pensyonarskich, wypływających z nieświadomości i braku

doświadczenia. Posłuchaj mnie, moje dziecko. Nie jesteś bogatą, bo twoje trzydzieści tysięcy rubli, w stosunkach, w jakich się obracasz, nie są posagiem, więc zamążpójście łatwym dla ciebie nie będzie. Trzeba zatem, ile można, korzystać z lat młodych, bywać w świecie i ustalić się, jeżeli trafi się partya odpowiednia. Tutaj, u mnie mogłabyś przez całe lata nikogo obcego nie zobaczyć. Piszę zatem do Maryańskiego, ażeby cię zabrał do Warszawy na karnawał. Oni są wszędzie dobrze widziani i szanowani, bardzo dobre mają, stosunki i dużo bywają; opiece ich mogę cię powierzyć z całą ufnością.

Ninkę za gardło coś ścisnęło, nie wiedzieć dlaczego. Tenczyński stanął w jej pamięci, i złękła się planów ciotki.

– Ciociu, – rzekła nieśmiało – nie mam wielkiej ochoty tak prędko za mąż wychodzić. Nie wiem czemu, ale ja się boję zamążpójścia.

– Urojenia! – i pani Tenczyńska lekceważąco ręką ruszyła. – Powtarzam ci, moje dziecko, że na wszelkie urojenia zważać nie trzeba, ale korzystać z młodości, która zawsze ma swój urok. Z każdym rokiem będzie ci trudniej z zamążpójściem.

Ninkę upokarzała ta kombinacja.

– Moja droga ciociu, – rzekła ze łzami w głosie – niech ciocia pozwoli mi jak najdłużej przy sobie pozostawać. Chciałabym być cioci w czemkolwiek użyteczną, rozerwać może czasem moim towarzystwem... Chciałabym teraz choć trochę żyć dla drogiej cioci... A co do mojej przyszłości, to tam kiedy później dość czasu będzie myśleć o tem. Tak, teraz, na tę chwilę będę najszczęśliwszą, jeżeli będę z ciocią i dla cioci... Proszę pozwolić, bardzo proszę... moja droga ciociu...

I Ninka przechyliła się trochę ku pani Tenczyńskiej, jakby wyczekując, aby ją do siebie przyciągnęła i uściśnęła. Dusza jej się rwała do serdeczności i jakiegoś ramienia, któreby ją objęło czule i pieszczotliwie, bo potrzeba jej było, dziś właśnie wyjątkowo, więcej ciepła i uczucia, oddawała tedy siebie i serce ciotce, jedynej istocie blizkiej sobie; ale była zbyt nieśmiała i lękliwa, aby miała pierwsza, bez zachęty zbliżyć się z oznaką serdeczności; wołała czekać, czy ofiara jej będzie przyjęta.

Pani Tenczyńska tymczasem mitenki na rękę poprawiała i odrzekła ze zwykłą sobie obojętną uprzejmością:

– Dobre jesteś dziecko, moja Ninko, i szlachetne masz porywy, ale ja z twojego poświęcenia nie chcę korzystać; byłoby to egoizmem z mojej strony. I ty, moje dziecko, mną się nie krępuj, gdyż towarzystwo mojej *dame de compagnie*, która lada dzień powróci ze swoich wakacji, najzupełniej mi wystarczy. Ona zna oddawna moje usposobienie i nawyki, a w moim wieku przyzwyczajenie najgłówniejszą gra rolę w trybie życia. Dziękuję ci, moje dziecko, za twoje dobre chęci, ale mam sobie za obowiązek przedewszystkiem twoją przyszłość mieć na względzie.

Ninka wyprostowała się napowrót. Z twarzy jej znikł wyraz serdecznego wylania; była jak mimoza, która za najłżejszym powiewem zimnego wiatru, listki swe zwija, i, jakby zraniona tem muśnięciem, składa je na dnie swego wrażliwego kielicha.

Nie zrozumiały się. Jej ofiarę z serca i przywiązania pani Tenczyńska wzięła za poświęcenie; nie zrozumiała, że Ninka rwie się do uczucia i prosi o nie, aby mózgi na niem oprzeć w zaufaniu swoje serce.

– Każda inna panna na twoim miejscu skakałaby z radości, że się trochę zabawi i ludzi pozna, a ty tak wyglądasz, jakby cię spotkało coś bardzo niemiłego.

– Nie wiem czemu, ale do wszelkich zabaw nie czuję najmniejszej ochoty, to zaś, co wszyscy uważają za zwykłe i naturalne, mnie się zawsze wydaje dziwnem i niezrozumiałem. Jeżeli to cioci nie robi różnicy, to bardzo, bardzobym prosiła, żeby tego listu nie posyłać jeszcze. Przecież to można przez pocztę uczynić w każdej chwili, a chciałabym tymczasem rozważyć to wszystko, co mi dziś ciocia powiedziała.

– Dobrze, jeżeli ci na tem tak zależy. Jesteś rozpieszczone dziecko, moja Ninko, robisz ze

mną, co ci się tylko podoba – dodała z uśmiechem pani Tenczyńska.

– Dziękuję cioci.

– A teraz dobranoc. Już późno, wyśpij się dobrze, żebyś jutro z niewywczasu sińców pod oczyma nie miała.

Ninka ciotkę w rękę pocałowała i poszła do siebie.

Ale tej nocy sen jej nie dopisywał. Tenczyński co chwila stawał jej w pamięci, przypominała sobie, jak on w lot zawsze zgadywał jej myśli, i choć ich czasem do końca nie dopowiadała, wiedział, jaką jej dać odpowiedź i objaśnienie.

Kiedy się położyła i oczy zamknęła, zdawało się jej, że ta otaczająca ją ciemność jest jakimś morzem czarnym a strasznym, którego fala unosi ją w dal pustą, ciemną i samotną, a na brzegu, wśród światła i zieleni, zostają pani Julia i Tenczyński, złączeni w miłosnym uścisku.

Cieężko jej było bardzo na tej czarnej, pustej fali, a marzenia przybierały coraz wyraźniejsze kształty. Z ciemnego morza wychodziły ciemne, brzydkie postacie i w głębiny chciały ją wciągnąć, wyszedł Mefisto i wskazując tamtą kochającą się parę, śmiał się szyderczo i złośliwie: Ha! ha! ha! Tak samo śmiał się, kiedy stał w kościele za modlącą się Małgorzatą: Ha! ha! ha! I wszystko tak samo za nim się śmiało: i ciemne morze, i postacie, i pani Tenczyńska, która także wśród nich stała, i Tenczyński, który się od niej odwrócił i szedł za panią Julią, – a ją fala niosła ku jakiejś skale ostrej i samotnej...

Ninka chciała się otrząsnąć z dźwięku tych śmiechów niemiłych, mimowoli siadła na łóżku, i sen na resztę nocy uleciał z jej powiek.

Mizernie też Ninka na drugi dzień wyglądała, kiedy wstawszy rano, pojechała o ósmej na banhof w towarzystwie panny służącej.

Przyjechała jeszcze przed przybyciem pani Julii i jej towarzyszków.

Była niespokojna i wzruszona; zdawało się jej, że pożegnanie z Tenczyńskim musi być inne niż z drugimi, że dzień ten, takiego napozór banalnego rozłączenia, jest dla niej decydującym i bardzo ważnym, że z jej duchowej istoty coś zabierze i coś jej zostawi, czego przedtem wcale nie posiadała, a czego dotychczas nie знаła jeszcze nawet z imienia.

Zjawili się nareszcie oczekiwani. Pani Julia miała gustowny kostium podróży, w którym jej bardzo było do twarzy, a jej towarzysze, odpowiednio do okoliczności, wyglądali na bardzo zadowolonych.

– A, panna Janina ranniej niż od nas ptaszek! – rzekła pani Julia po przywitaniu. – Jaka pani pocziwa, że się dla nas poświęciła i wstała tak rano! Ale nasza „panienka z klasztoru” wiedziała dobrze, że mi swoją obecnością zrobi wiele przyjemności.

– Myślałam też i o swojej – dodała Ninka z uśmiechem.

Panowie zajęci byli biletami, oddawaniem rzeczy i lokowaniem panny służącej pani Julii. Pani Julia dalej z Ninka rozmawiała.

– Mam nadzieję, że pani napisze do mnie czasem jakie słówko o sobie. Chyba pani nie wątpi o mojej sympatii i wie, jak mnie interesować będzie każdy o niej szczegół. A proszę mi czasem nie zakochać się nierozsądnie! – tu pani Julia pogroziła jej z uśmiechem. – W ostatecznym razie niech się pani mnie poradzi: jestem starsza i więcej doświadczona.

Ninka śmiała się i obiecała korespondencję.

– Jeszcze mamy dziesięć minut – rzekł Tenczyński, obok niej siadając. – Rzeczy nasze już zaniesione do wagonu, my sami możemy wsiąść dopiero w ostatniej chwili.

Tenczyński czasu nie tracił, nawiązał zaraz z Ninka rozmowę osobistą.

– Wyrzucam sobie, – rzekł z uśmiechem – że takie niekorzystne pojęcie zostawię w pani wspomnieniach. Pociesza mnie to jednak, że może po jakimś czasie, kiedy wrażenia, z klasztoru wyniesione, trochę się zamglą przez oddalenie w pani pamięci i zetrą ostre barwy i kontury, a pani z życiem się obznajmi, to chyba znajdzie się trochę pobłażliwości dla tego grzesznika, który ma odwagę kart się dotykać, nie dbać o umartwienia, a przeciwnie, lubi

bardzo wszelkie przyjemności. Może wtedy i dusza jego wyda się pani nie taką czarną, jak gdyby ją, kto umaczał w atramencie.

Ninka już teraz uśmiechała się pobłażliwie.

– Nie mogę pozbyć się jednego przekonania, – rzekła – ale niech pan nie gniewa się za to, co powiem. Zdaje mi się, że pan pozuje na gorszego, niż jest w istocie.

– Już drugi raz, choć w innej formie, robi pani to samo spostrzeżenie, a ja drugi raz nie zaprzeczam, może... tylko przez grzeczność, aby innego niż pani nie być zdania.

„Ta mała ma naprawdę umysł subtelny, – myślał sobie – trochę intuicji i mimowolnego przeczuwania drugich wpływającego z wrażliwości. Gdyby istniała kolekcja kobiet, posiadających właściwość mimowolnego przeczuwania tego, do czego inni rozumowaniem dojść nie mogą, to byłby z niej jeden z bardziej obiecujących okazów.”

– Trzeba już koniec położyć bałamuceniu panny Janiny – rzekła z uśmiechem pani Julia: – do wagonu już czas wsiadać.

Żegnano się. Ninka stała jeszcze na peronie i przez okno rozmawiała z panią Julią.

– A niech pani pamięta pisać zawsze do mnie o wszystkim! – rzekła pani Julia.

– Z największą przyjemnością. Do widzenia! Ninka za jej plecami szukała sylwetki Tenczyńskiego, ale on nie patrzył już przez okno: zajęty był zdejmowaniem paltota z pani Julii.

Pociąg ruszył, w oknie stanął Maryański i ostatni ukłon posłał Nince...

– Panienko, może już do domu pojedziemy? – rzekła panna służąca, kiedy pociąg widać już nie było, a Ninka patrzyła za nim jeszcze.

– Możemy pójść piechotą, czas jest prześliczny, a jeszcze jest tak wcześnie, że ciocia nieprędko będzie cię potrzebowała do ubierania.

Do kogoż się ma śpieszyć? – myślała sobie. – Przecież jej nikt nie potrzebuje, nikomu nie jest pożądaną, ani użyteczną. Pani Tenczyńskiej wystarczy towarzystwo *dame de compagnie*, sama ją to wczoraj powiedziała. Czy wróci wcześniej, czy później, nikt na tem nie ucierpi, nie zatroszczy się, ani zatęskni...

Zdawało się Nince, że to ona gdzieś daleko odjechała, że zostawiła za sobą jakieś przedmioty drogie i bliskie, że jej po nich tęskno i smutno, jakby się oddaliła od całego uroku, jaki miało dla niej życie.

Właśnie przez most przechodziła. Widać było daleki horyzont Elby w obydwóch kierunkach, pełen powietrza i aromatu wiosny, szerokiej przestrzeni, niebieskich konturów gór oddalonych i odbłyśków słońca, łamiących się w falach wody.

Ninka weszła na taras Bruhlowski i usiadła na jednej z ławek. Upajał ją ten wiosenny, słoneczny widok, miała ochotę marzeniom puścić wodze, pomiędzy światłem i zielonością rozpedzić przygnębienie i apatyę.

Uwijały się wokoło niej gromadki dzieci, kilka par młodych stało opartych o baryerkę i gawędzili, zajęci sobą wyłącznie.

Dążenie do życia, radości i swobody zdawało się krążyć w powietrzu, i Ninkę ogarnęła naraz jakaś chęć szczęścia i upojenia, a zarazem jakaś tęsknota, splątana ze wspomnieniem Tenczyńskiego. Ale ten wesoły i słoneczny widok Drezna jakoś ją dziwnie odosabniał; nastrój ten nie harmonizował z jej wewnętrznym usposobieniem, nie mogła z nim sympatyzować i doznać ulgi. Jejby potrzeba było teraz jakiejś istoty, która byłaby smutna, tak samo osamotniona i na uboczu, któraby rozumiała, że dusza jej rwie się do szczęścia i przywiązania, do jakiegoś celu dla dążeń i uczucia jej tymczasem smutno, bo niema koło siebie ani uczucia, ani celu, ani równowagi ducha, ani spokoju; bo każdy powiew balsamiczny, bo każdy uśmiech natury i życia, każda melodia muzyki lub fala światłości słonecznej rozbudza w niej tęsknotę, kreśląc, niewiedomo dlaczego, rysy Tenczyńskiego.

Ale... nie... tak źle nie jest... Tam... z krainy jakichś niewyraźnych wspomnień patrzą na nią czyjeś oczy, bardzo smutne, a zdające się czytać w myślach jej i uczuciach...